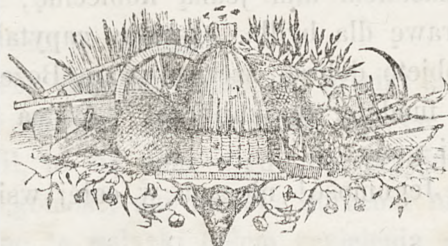
Tom IX.



Nr. 2.

11. Lipca 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

L. 8.922.

Z c. k. sądu krajowego Lwowskiego w sprawach karnych do Redakcyi pisma „Dzwonek" na ręce p. E. Winiarza.

C. k. sąd krajowy Lwowski w sprawach karnych zważywszy, że Redakcya pisma dla ludu „Dzwonek" w numerze 1 tomu IX zamieściła artykuł „Męczeństwo św. Felicyty i jej synów" z treści swojej poszlakowany o zbrodnię zaburzenia spokoju publicznego w myśl §. 66 kod. karn. i rozporządzenia min. spr. z dnia 19 października 1860 r., postanowił śledztwo karne wytoczyć.

Lwów dnia 8 lipca 1863 r. **Pohlberg.**

Lipa przy kościele.

We wsi Krudowce stoi niedaleko kościoła mała kapliczka z frasobliwym Panem Jezusem. Po jednej stronie rośnie dąb i nakrywa konarami cały dach tej kapliczki, a po drugiej stoi stara lipa, ale to jeno sam pniak wysoki na jakie trzy łokcie, a spodem gałązki zielone koło niego. A widaćci tę kapliczkę zdala o jakie dwie mile, bo to na czystem polu i na równinie jak po stole. Kto ta ciekawy, to pewnie nie pożałuje chodu do tej kapliczki, a zobaczy obraz z frasobliwym Panem Jezusem, jaki dał malować jeden pobożny gazda Piotr Gomołka i wysypałci za to malowanie aż 30 reńskich papierkami. Otóż

i ja jadąc tamtędy na odpust świętego Jana Chrzciciela do Stokłosiny, poszedłem popatrzyć do tej kapliczki, ucieszyłem się obrazem, a zastałem tam jedną kobiecinę, co to sobie po zbożu zbierała trawę dla bydła. I zaraz zapytałem ją:

— Moja kobieto dobra, szczęść wam Boże do dobrej roboty! ale kto to fundator tej kapliczki? A ona przyszła, skłoniła się pięknie i gada:

— O jużto Jegomość! nie ma w całej wsi pamiętnika o fundatorach.

A ja pytam dalej:

— A któż teraz pamięta o tej kapliczce, i kto tu utrzymuje to światło koło obrazu?

Na to powie kobieta:

— Ta, któżby inny jak nie gromada, nie wymawiając tego Panu Jezusowi; na co kogo stać, to niesie na ofiarę.

— To dobrze robi wasza gromada, mówię jej, bo takie figury i kapliczki to powinni ludzie pobożni pilnować, bo to wstyd dla katolików wielki, gdzie po wsi stoją krzyże święte połamane, kaplice bez okna i dachu, i gdzie też nie ma ani jednej takiej duszy, coby też ją serce zabolało na to, że święte rzeczy poniewierają się koło drogi, a nikt się nad niemi nie zlituje.

A dobra kobiecina mówi mi:

— Oj Jegomość! u nas ta inni ludzie, i o kościół dbają, i krzyże fundują, a jak się co zepsuje w tej kaplicy, to wójt z gromadą złożą jałmużnę na to, i zaraz naprawią bez pijatyki i hałasu. To też nie ma obrazy Boga, jeno raz pokarał Pan Jezus strasznie tę gromadę, a już to temu dawno i ja tego już nie zapamiętałam.

A ja ciekawy pytam ją:

— No! i jakże to było i cóż to takiego?

Ona przeżegnała się, westchnęła i jęła gadać:

— Oj Jegomość! była tu na tem miejscu wielka bieda kiedyś i straszne pokaranie boskie, tu gdzie stoi ten pniak lipowy zabił sam Pan Jezus aż troje ludzi naraz od strasznego i ognistego pioruna, a to jeszcze ojca, matkę i ich dziecko.

Aż mi włosy na głowie się ruszyły na to straszne gadanie, poszedłem bliżej, opatrzyłem tę lipę starą i widziałem jakiś nito dół nito jamę i gadam przestraszony do kobieciny:

— A to pewnie dla tego nikt tu nie waży się posadzić inne jakie drzewo, jeno to trzymacie na pamiątkę tej kary boskiej.

A ona mówiła z płaczem:

— A gdzieby tam kto sadził co, tu nikt ani się zbliży, tak się boimy tego miejsca koło tej lipy, bo co sam Pan Jezus przeklął i spalił, to się pono nigdy nie przyjmie i nie urośnie, to też widzi Jegomość, ani nawet z korzenia nic a nic nie wyrosło dotąd, jeno te gałązki dołem zazielenią się i zaraz liście opadają, ani też te gałązki nigdy nie rosną większe jakto na innych drzewach, jeno są zawsze jednakie i pokrzywione.

A ja pytałem dalej:

— A na co te doły koło tej lipy?

— Te doły Jegomość — mówiła ona — to mają być powiadają starsi, od samego pioruna, to znowu gadają, że tu są groby tych zabitych, a tę kaplicę fundowała dawno gromada, na co się składały i poblizkie wsie.

I kobiecina dobra tak prawiła dalej:

— Otóż widzą Jegomość! stała tu na rogu wsi taka kletka z jednem okienkiem, co to więcej do budy była podobna niż do chałupy. A w tej kuczy siedział dziadowina, babina i młode dziewcze. Nie godzi się gadać, żeby to mitrężyło w dzień boży, bo to miało łazić od rana do wieczora jak stary koń w kieracie, ale cóż to z tego, kiedy to miało ludziskom biednym robić szkody na tyle, że już ani rady temu dać. Ni to siało, ni zbierało, a miało chleb swój i wychowek od nowego do starego, i bąkali ludzie nieraz, że były tam i dukaty w skrzynce na samem dnie schowane.

A ja rzeknę na to:

— Ej! możeto nie prawdę ludzie gadali, boćto przecie wiecie, że nieraz i dziady pozostawiali dukaty jak pomarli, a przecie nie kradli ani cyganili.

— Ale gdzieta Jegomość! — gadała kobieta — toć przecie cała gromada wiedziała o tem, i co to się nakarali tak dziada jak babę, toby tego nie spisał na wołowej skórze, a to dziewcze ich to miało być jeszcze gorsze, tak go sobie wy-

uczyli po nocach robić szkodę na polu, ta to dostało więcej kijów niż włosia na głowie, a w areszcie siedziało to aż pono nogi poodgniwały temu głuptakowi. Ta to karał i nasz xiądz koło kościoła, stało to z snopkami ukradzionemi w niedzielę przed drzwiami kościoła, a ludzie tykali palcami i mruczeli aż strach mówić, a gadają że dziad był w kryminale dwa razy, baba raz, a to dziewcze było bite aż krew sikała, i widzi Jegomość! to wszystko nie pomogło, bo to już było takie złe nasienie, aż sam Pan Jezus dał temu radę i to za jedno Zdrowaś Marya! Ale niech też Jegomość zaczekają, bo muszę polecieć i zadać brzemię memu dziewczęciu z trawą, bo to jeszcze słabizna i nie może udźwignąć, a mogłoby w sobie co oberwać i zachorować.

I pobiegła dobra kobiecina, związała trawę w płachtę, pokrzyczała na głupie dziewczę że dużo napakowało, zadała i jeszcze gadała, aby szło ostrożnie przez ławkę na przekopie, aby nie skakało przez wodę ani leciało, ale szło sobie pomału i odpoczęło przy płocie strykowym i tak coś jeszcze nakazywała, a ja tymczasem obejrzałem tę lipę do okoła, nadstawiłem ucho lewe do jamy i słyszałem szum jakby wiatru jakiego, i opatrzyłem gałązki które były pokrzywione, i zadumałem się na to, że tu leżało troje ludzi głupich, co to grzeszyło i grzeszyło, aż się temu raz ucho urwało i to potem tak marnie skapało, bo dowiedziałem się już, że pod tą lipą Pan Jezus zabił piorunem ognistym tych grzeszników zatwardziałych.

I przyszła dobra kobiecina zadyszana i mówi:

— Alem sobie zapomniała do kapki, o czem to ja gadała.

Ja jej przypomniał na to i pytam:

— No! jakimże to sposobem zabił Pan Jezus tych obmierzłych szkodników tu pod lipą? Może oni tu stanęli pod lipą kiedy chmura wyszła, a to nie trza nigdy stać pod drzewami jak grzmi, i może ich wtedy zabiło?

Zaś kobieta rzecze:

— Ale gdzieta, gdzie Jegomość! toćto połapali ludzie na szkodzie wszystko troje i zegnali w to miejsce razem, a była tu lipa na miedzy Szymka Jurczaka, ale aby nie pouciekali, to ich razem przywiązali do lipy i postawili wartę i zwołali całą

gromadę na sąd, a nim się gromada zeszła, to wyszło dobre dwie godzin czasu, a miał być xiądz i pan przy tem, ale Pan Jezus sam pierwej osądził i zabił do razu jak muchy marne.

Na to ja znowu mówię do niej:

— No! ale przecie ludzie nie bili i nie męczyli tych oślepionych biedaków, bo sądzić i ukarać sprawiedliwie to wolno, ale bić bez sądu i męczyć to grzech za to.

A ona kiwała głową i gadała:

— O Jegomość! ani palcem nikt nie ruszył, bo ta nasi ludzie nie są tacy jak gdzieindziej, tocto plugastwo robiło szkodę każdemu tyle czasu, a przecie nikt tego nie męczył, ani nikt nie doradzał do tego grzechu, co ukarali to i ukarali jak było potrzeba, ale nie męczyli nigdy, bo to przecie ludzie i katolicy a nie pogany.

— No, toście bardzo dobrze zrobili — mówię do niej — ale że też wartników nie zabiło i nikogo więcej, choć tam musiało być luda dosyć?

Ona mi w ten sens odpowiedziała:

— Bo to była i cudowna jakaś chmura, to pono była jak płachta moja maleńka ale czarna jak węgiel, i jeno odrobinę zahuczało w górze, trzasło w środek lipy i bęc! troje dziadów jak długie leżało na ziemi, a wartnikom zagwizdało jeno w uszach, aż się biedaki przestraszyli i w nogi uciekli. O Jegomość! co to było płaczu wtedy, to sądny dzień, a ludzie szli oglądać jakby na odpust jaki. Wszystko troje mieli obie ręce na troje połamane, a dziad miał gębę wykrzywioną, a babie wyrwało język cały. I aż urząd zjeżdżał na rewizyą i dopiero potem pochowali ich tu na miejscu, to też gadają, że tu w tej jamie ciągle coś płacze, stęka i woła ratunku, i coś się niby kłóci i przezywa, i mają tu pokutować te trzy dusze, i będą tu aż do sądnego dnia, a ta lipa ma doczekać aż do końca świata.

Ja powiedziałem na to w końcu:

— Otóż macie palec boży za robienie szkody, dziadowi wykręciło gębę, bo sam źle robił i namawiał do złego, babie wyrwało język bo także kazała dziewczęciu robić szkodę, a ręce im wszystkim we troje połamało, bo wszyscy rękami tyle

nagrzeszyli. I zostańcie z Bogiem dobra kobiecino, Bóg wam zapłać za takie historye ciekawe, bo i ja muszę jechać.

A ten przytrafunek dziwny i od Pana Jezusa zesłany opisuję wam moi kochani na to, abyście jedni drugim nie robili szkody na polu, w ogrodach, bo na to patrzy Pan Jezus z wysokiego nieba i karze sprawiedliwie.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Kołodziej.

— Hej! Macieju kołodzieju
Zróbcieno mi koła,
Bo dziewuchę dobrodzieju
Wiozę do kościoła;
Jeno tam nie bardzo drogo,
Bo dziewkę ubogą.

— Wiemci ja żeś nie bogaty,
Ona nie bogata,
Żebyście nie mieli straty,
Zapłacisz dukata.

— Oj Macieju! co innego,
Zwiodłem cię nieboże,
Toć ja ojca rodzonego
Na smętarz wywożę;
A wyście go majstrze znali,
Boście się kumali.

— Oj chłopaku, nieboraku
Wielka bieda tobie,
To już koła ci biedaku
Za talarka zrobię;
Jeno co drzewo kosztuje,
Pracy nie rachuję.

— Kołodzieju, człeku złoty,
Weź się do roboty,
A dostaniesz trzy dukaty,
Bo wiozę armaty.
Widzisz Francuz tam zdaleka
Na to koło czeka.

— Dosyć chłopcze tej swawoli,
Nie masz u mnie wiary;
Rozgniewał się, lecz powoli
Drzwi uchylił stary,
I ujrzał przed chatą swoją,
Że Francuzi stoją.

— A toć prawda, a niechże ci
Matka Boska świeci,
Nie chcę ja tam brać zapłaty!
I na chłopców woła:
— Bierzcie drzewo na warsztaty,
Robić mocne koła,
Jeno żywo, nie niedbale,
Bo zemkną Moskale.
A ty chłopcze idź wesoło
Do swoich żołnierzy,
I powiedz im że za koło
Nic się nie należy.
Powiedz im że już zaczęto
I że rychło będą mieli,
I dam jeszcze na mszę świętą.
By moskali d..... wzięli.

Teofil Lenartowicz.

O gromadzie w Klimcikowie.

Żył ci sobie we wsi Klimcikowie pijak zawołany, a zwał się Mateusz Kostyszyn. Co kędy zarobił, dalejże z tem do karczmy, przepił do grosza, a w domu Boże zmiłuj się — wielka nędza i niedostatek.

Nic nie pomógł płacz i prośby Katarzyny, jego żony, nie zmiękczyło się jego zatwardziałe serce, gdy widział obdarte i głodne dzieci, Mateusz jak za dobrych czasów pił sobie bez upamiętania.

Ale po niejakim czasie ozwało się przecie sumienie w jego duszy. Poszedł więc do kościoła, a właśnie było tam kazanie o sądzie ostatecznym.

— I jakże staniecie — mówił xiądz proboszcz — na strasznym sądzie wy niedobrzy rodzice, którzy nie dbacie o dziatek zdrowie i przyszłość; jakże staniecie wy ojcowie, którzy zamiast utrzymywać zdrowie swoje dla dzieci i żon waszych, niszczycie je w karczmie, marnotrawicie mienie i okradacie dzieci wasze, które gdy dorosną, wyschłą rękę wyciągać będą musiały po kawałek chleba, po odrobinę ciepłej strawy, którejby miały zadosyć, gdybyście wy ojcowie nie przetrwonili dobytku na pijaństwie, ale owszem przysporzyli go szczerą i uczciwą pracą!... O straszno będzie z wami moi parafianie!.. bo krzyż Pański, który będzie jaśniał na niebie, zamiast zgromadzić was u stóp swoich, odepchnie was od siebie i zginiecie bez pomocy i ratunku w przepaści złych duchów!...

Te słowa do głębi wzruszyły Mateusza, i jak tylko przyszedł do domu, tak się rozżalił niezmiernie, że póki życia postanowił nie chodzić do karczmy. Ale cóż z tego, kiedy to już było prawie za późno. Nie mógł Mateusz tyle zapracować co dawniej kiedy miał czerstwe zdrowie i siły. Zniszczony dobytek chciał teraz naprawić, ale sił już zabrakło. Zapadł w ciężką chorobę, a niebawem umarł wkrótce w okrutnych boleściach zostawiając żonę i dwoje dzieci osieroconych.

Owóż taki koniec czeka każdego, kiedy zawczasu nie chce odwyknąć od jakiego nałogu, od którego się zrazu przy dobrej woli z łatwością odzwyczaić można.

Ludzie żałowali Mateuszową, ale nie długo po śmierci Mateusza spotkało ją jeszcze drugie nieszczęście. Cała chałupina zgorzała do szczętu, a biedna kobiecina musiała u swojej sąsiady szukać przytułku.

Owóż gromada Klimcikowska tak się tem wszystkiem przeraziła, że prawie wszyscy gospodarze przestali pić wódkę, a za to jakie teraz są porządki we wsi, posłuchajcie kochani ludkowie.

Całe sioło wygląda gdyby jakie miasteczko piękne. Domki bielutkie jak śnieg, a w około nich czyściutko i porządnie, że aż miło patrzyć. Każdy prawie gospodarz ma przy chacie ogród piękny, a w nim kilka ulów; przed ulami grządki z kwiatkami, z których dziewczęta wiją wieńce i co niedzielę stroją ołtarze w kościele, a i do włosów zatykają po kilka kwiatów. Za chatą stoją obory, a przy nich gnojowiska w około kołami obsadzone, aby bydło i bezrogi gnoju nie roznosiły i nie paskudziły na podwórzu.

Gdy zaś wejdziesz do chaty, to tam dopiero porządek i czystość. Okienka przeźroczyste, podłoga wymyta, a na ścianach to tyle wisi obrazów, że się człowiekowi duchem wydaje, że wstąpił do jakiego kościoła.

Dlatego też to stary Paweł dobrze do swojej gada:

Oj żonusiu moja miła
    Czysto trzymaj dom;
Bo w nieczystym żyć nie zdrowo
    I gosposi srom.
Gdy gosposia jak laleczka
    Czysty domek ma...
Jużci każdy po podłodze
    Rządną żonę zna.

Jednakże przychodzi teraz zapytanie, zkąd ci ludzie tyle rozumu nabrali do głowy? Owóż muszę ja wam o tem rozpowiedzieć.

Skoro tylko przyjdzie niedziela, każdy prawie gospodarz czysto i pięknie ubrany, z xiążką pod pachą idzie do kościoła

na nabożeństwo, a po południu znowu na nieszpór. Zaraz po nieszporze czyja ochota idzie do chaty Antoniego Miazgi, który różności rozpowiada, boć on niemało świata zbiegał i niemało na własne oczy widział, a tak mu to idzie składnie jakby z xiążki czytał.

Poczciwy Antoni tak się już ułożył do pogadanek, że jak tylko przyjdzie niedziela, tak każdy czy młody czy stary, czy to dziewucha czy parobek, czy gospodarz albo gospodyni, wszyscy gromadzą się w jego chacie jakby za jaką powinność, a tak tam ciasno, że niekiedy dla zaduchu ludzie aż na ogród wychodzą. Przychodzi tam także czasem pan nauczyciel i czyta przepiękne rzeczy z gazet albo jakich xiążek, których mają podostatkiem, a to tym sposobem.

Przy pomocy Boskiej i pana dziedzica i xiędza dobrodzieja wyfundowała gromada szkółkę, a przy niej założyła czytelnię. Każdy gospodarz co pół roku daje tylko trzydzieści grajcarów nowych, do czego pan dziedzic dokłada co nieco, a za to kupują różne gazety i xiążki, które każdemu wolno czytać. Zaś najlepiej udaje się to w niedzielę u Miazgi, bo każdy ma głowę spokojną i czas najlepszy. Kiedy nie czytają, gwarzą sobie jedni z drugimi o różnych nowinach, co się dzieje w świecie, o czem donosi pismo: *Nowiny ze świata* nazwane, które w Krakowie wychodzi; albo rozmyślają jakby to poprawić, co dawniej było niedobre, jakby polepszyć gospodarstwo, a niekiedy znowu radzą wszyscy jakby jednego gospodarza z drugim pogodzić bez swarów, kłótni i procesów, które nieraz tyle zachodu i pieniędzy wymagają, a i tak na nic dobrego nie wychodzą. Otóż powiem wam prawdę, że teraz w Klimcikowie, to jakby w raju: nie ma ani plotek, ani zdzierstwa, ani broń Boże żadnego złodziejstwa, wszyscy się kochają i pomagają sobie nawzajem.

A mali szkolarze jak ci się wysypią ze szkółki, to dopiero jest na co spojrzeć. Takie to żywe, wesołe i rozumne, a człek wnet zmiarkuje, że z tego ludzie wyrosną zacni a żadne hultajstwo.

Często też stary Paweł zachodzi małym szkolarzom drogę i tak do nich gada:

— O wy szczęśliwsi będziecie od nas, moi chłopcy, bo będziecie mieć i serce dobre i naukę w głowie, za co was Pan Jezus pokocha i lepszych udzieli czasów. Zaś do swojego syna mówi:

Kiedy będziesz czytać, pisać,
Mój kochany synku,
Nikt nie odrwi ciebie w chacie,
We wsi i na rynku;
Będziesz umiał chwalić Boga —
Nie poznasz co bieda sroga.

Dlatego zaś gada on wierszykami, bo trzeba wiedzieć, że stary Paweł to jak Mikołaj Kowal z Ceblowa, o którym czytaliście w Dzwonku, umie pięknie przemawiać do składu. Żyd na to wszystko patrzy krzywem okiem, ale zdaje mi się, że nie długo będzie musiał ze swojemi bachorami jak nie pyszny uchodzić z Klimcikowa, a gospodarze wyżegnają go jak złego ducha.

Wójt zaś Szymon Mękała widząc Mateuszową z dwojgiem maleńkich dziatek w takiem nieszczęściu, wstawił się u gromady, a więc ten ćwiartkę zboża, tamten trochę drzewa przywiózł z lasu, inny poszył chałupę, drugi ją wylepił, i tak za staraniem dobrego wójta przyszła Mateuszowa do wygody.

A co już pani dziedziczka, to się najpiękniej spisała! Kupiła dzieciaczkom ładne koszulki, a oprócz tego przeznaczyła dla nich trzydzieści reńskich. I myśli sobie dobra pani:

— Dam Mateuszowej te pieniądze, to je przeje albo na co innego obróci i dziatki nie będą miały nic z tego.

Owóż pani dziedziczka zrobiła tak z tymi pieniądzmi. Kupiła za dwadzieścia reńskich krowę, z której będą miały mleko, a po koniec lata będzie od niej ciele, przez co się chudoba pomnoży, a za resztę kupiła dwa prosiaki i wszystko to zapisała na biedne sieroty po Mateuszu.

Co tam teraz wesela, co radości, to wam tego nie jestem w stanie opisać.

Widzicie więc, że gdzie dobrzy ludzie tam i panowie są tacy. Cały Klimcików ładnie się pokazał i godzien jest aby inne gromady brały sobie z niego przykład, i aby wiedziały,

że gdzie zgoda panuje, tam anieli mieszkają; a gdzie niezgoda, tam czarci mają siedzibę i wszystko walą i psują, dla tego też piszą:

Gdzie niezgoda się wkorzeni,
Tam się wszystko w piekło zmieni —
A gdzie mieszka pokój, zgoda,
Tam pomocy swej Bóg doda.

Józef z Bochni.

POGADANKA GOSPODARSKA.

O drenowaniu.

Do pana dziedzica w Chachłucie przyszli gospodarze po jakimś interesie. Gadając to o tem to o owem chodzili po dziedzińcu, kiedy nadjechały fury dworskie, i przywiozły rurki gliniane różnej grubości. Więc zaczął pan dziedzic z gospodarzami oglądać te rurki, a Maciej Wściuba, co to jest człek dziwnie ciekawy do wszystkiego, zapyta wnet:

— Proszę też wielmożnego pana, a do czego też te zabawki?

— Bogać tam zabawki — powie pan dziedzic — toć to rzecz bardzo ważna dla gospodarstwa, bo to są rurki do drenowania.

— Ba! kiejby my wiedzieli co to za sprawa owo drenowanie — powie Wojciech Stateczny, wójt i zamożny gospodarz.

— A to jest moi mili — rzeknie pan dziedzic — taka sprawa, iż rurki te wkopują się na 4 do 5 stóp głęboko w ziemię, tam układa się jedna do drugiej równo i porządnie, a potem macie już całą rzecz skończoną. Zaś rurki te wciągają w siebie wodę z gruntu, której jest za wiele, osuszają tak grunta, pomagają iż powietrze łatwiej dochodzi do środka ziemi, więc czyni ją urodzajniejszą.

— Zaś proszę wielmożnego pana — rzeknie Stach Bąbla, także znaczny gospodarz — to jakieś nowacye, i to już nie dla nas. Kto zaś widział u nas, aby rurki zakopywać w ziemię

niby na śmiech. A toć zamiast tej mitręgi lepiej jest, aby po prostu gnoju nawieść, i już skończona historya. A takiego dziwactwa to i nasi ojcowie nie widywali i widać my nie zobaczymy.

— Otóż macie — powie pan dziedzic — znowu ta sama historya, że to nowacye, że to jakieś niemieckie sztuki, i że to na nic dla gospodarza. Właśnie moi mili jest źle, że tak gadacie. Jużcić nie ma racyi, aby czegoś nie robić dla tego, że ojciec tego nie robił. Gdyby ojciec wiedział o dobrym jakim sposobie, toby go nie zaniedbał. A druga rzecz jest ta, iż nie ma racyi w tem, aby sam nawóz wystarczył za wszystko. Toć na gruntach mokrych, jakich u nas jest dostatek, nie pomoże nic sam nawóz, bo wszystko wymoknie.

— No — powie wójt Stateczny — jużci dobrze pan mówią, ale taki widzi mi się, iż to nie dla nas ta sprawa. Gdzie tam człeku do takich turbacyj i zachodów.

— Miły Wojciechu — rzeknie pan dziedzic — kto chce psa uderzyć, ten kija znajdzie, a kto ma dobrą chęć aby coś uczynić, ten się nie nastraszy żadnych turbacyj. Zaś gdyby ta cała praca nie opłaciła się, toby się jej pewnikiem nikt nie imał; ale że to rzecz dobra i użyteczna, więc coraz więcej biorą się do niej ludzie.

Zaś Maciej Wściuba, którego już strasznie język świerzbiał, zapyta wnet:

— Ale z przeproszeniem wielmożnego pana, jakże to właśnie idzie ta cała rzecz.

Na to pan dziedzic odpowie:

— Oto moi mili już wam powiedziałem, iż drenowanie głównie jest na to, aby wilgoć zbyteczną z roli wyprowadzać. Kiej takie rurki powkopujesz w moczary, to woda spada w nie ze ziemi, i uchodzi precz. Wiecie dobrze, jaka to rzecz niedobra z mokremi gruntami w wilgotny rok; wszystko zgnije i zmarnieje. Zaś drenowanie przeszkodzi takiemu zmarnieniu. Potem i to trzeba zmiarkować, że drenowanie pomaga także, aby powietrze dochodziło do środka ziemi. Wtedy też grunt staje się żyzniejszy, bo każda roślina tylko wtedy może dobrze urosnąć, jeżeli ma dostatek powietrza.

— Ano — powie Stach Bąbla — jużci zda się iż to na coś pożyteczne, ale myślę ja że nie zawsze. Bo ot na przykład na gruntach gliniastych to już całkiem niepotrzebne ono drenowanie.

— Właśnie że i na gliniastych gruntach jest ono bardzo pomocne — powie pan dziedzic. Wiecie przecież Stachu, iż mokra glina zbija się w masę i nie przepuszcza do środka ziemi powietrza. Zaś jak drenowanie wyciągnie z niej wodę, to glina kurczy się, rozpęka, kruszeje i staje się łatwą do uprawy. Skoro więc woda wyjdzie przez te rurki, więc i powietrze łatwiej dostaje się w głąb ziemi. Naostatek mój miły, rurki te czynią nieraz zdrowszym grunt, na którym są założone. Czasami można zobaczyć, iż na dobrych gruntach rośliny pięknie powschodzą aż do zakwitnienia, a potem nagle słabną i niszczeją. Dzieje się tak dla tego, iż pod urodzajną ziemią jest pokład złej, która niezdrowa dla roślin. Otóż takie rurki czyszczą ziemię, i czynią ją bardzo dobrą a urodzajną.

— Wszystko to prawda — powie wójt Stateczny — ale proszę pana ja jeszcze raz mówię, że to za drogi jakiś sposób dla nas, i że to za wiele musi kosztować.

— Jużci — odrzekł pan dziedzic — że koszt jest, ale też i pożytek nie mały, bo wydatki prędko się wrócą przez urodzaj i przez poprawę gruntów. Toć tam, gdzie się wam dzisiaj ledwie owies urodzi, po drenowaniu będzie rosła pszenica jak las i każde lepsze zboże. Zaś najlepiej przypatrzcie się, jak ja będę z tem robił, a potem może i sami spróbujecie.

Tak rozmawiał pan dziedzic z gospodarzami jeszcze łońskiego roku. Niebawem zaczął pan dziedzic drenować moczarzyska, gdzie dotąd żadnego prawie pożytku z nich nie było. Zbiegała się cała wieś, aby patrzyć na tę robotę; różnie tam sobie ludziska gadali, a pan dziedzic drenował ciągle. Zaś na wiosnę tego roku zasiano tam jarą pszenicę, i urosła ci cudnie piękna. Gospodarze nadziwować się nie mogli, a potem pogadawszy ze sobą długo, poszli do pana dziedzica i prosili, aby im poradził jak się to robi, bo także chcieliby spróbować tego

sposobu. Pan dziedzic chętnie obiecał im radzić i pomagać, a Maciej Wściuba, który jest pismienny, obiecał, że jak się całej sprawie dokumentnie przypatrzy, to opisze ten sposób do Dzwonka, aby także inni wiedzieli jak sobie poczynać.

Czego kto zwyczajny.

Maciej gospodarz w okolicy Szydłowca, kupił sobie na jarmarku w mieście krowę od biednej komornicy, która ją jak powiadała, jedynie z nędzy sprzedać musiała, ręcząc że jest zdrowa i dobra dójka. Przyprowadziwszy krowę do domu gospodarz, zawołał na swoją kobietę, aby ją wydoiła. Niebawem wybiegła ze skopkiem żona, podrzuciła krowie dobrej trawy, bo to było latem, i usiadłszy zaczęła ją doić. A tymczasem krowa ani jeść, ani mleka dać nie chce. Dziwno im to bardzo, ile, że krowa miała wielkie i nabrane wymię, a podług zaręczenia komornicy, dawała wiele mleka.

— Co się tej krowie stało — pomruknął gospodarz — zdrowo wygląda, czy czary jakie, czy co!

— Ale czary — zawołała gospodyni — nicponiaś kupił, teraz sobie dój!

— O moja matko — rzekł gospodarz — tylko się nie gniewajcie, czekajmy do jutra, a jeżeliby nie chciała dawać mleka, toć ją odprowadzę komornicy nazad; toć wiem od kogom kupił.

Nazajutrz sama gospodyni poszła do sadu, nażęła świeżej trawy, i gdy czas doju nadszedł, dała krowie; ale ta tylko, jak to mówią memlała, i mleka ani krzty dać nie chciała. Rozgniewana gospodyni wykrzyczała męża, że nicpotem krowisko kupił, a gospodarz nie wiele myśląc, wcisnął na uszy kapelusz, pojął na powróz krowę i odprowadził komornicy.

— A wy co chcecie — zawołała komornica na owego gospodarza, gdy jej przed chałupę przyprowadził krowę.

— Ha, moglibyście się też i wstydzić oszukiwać ludzi; macie waszą krowę, a oddajcie mi pieniądze — rzekł z wielką złością gospodarz. Powiedzieliście, że ta krowa dobrze daje mleka, a ona ani trochę mleka dotychczas dać nie chciała.

— Co wy gadacie — zawoła zdziwiona komornica — ta krowa mleka nie chce dać?

— A jużci że nie — odpowiedział gospodarz — usiądźcie tylko i dójcie, a zobaczycie.

Komornicy nie mogło się w głowie pomieścić co ów chłop bajał, czy oszalał czy co — mówiła sobie, ale nie wiele myśląc pobiegła do izby po skopek, i rzuciwszy krowie naręcze wysuszonego perzu, zaczęła doić. Krowa przegłodzona, ledwie się nie udawiła, tak jadła, a komornica musiała drugi skopek przynieść, bo jeszcze jej była do połowy nie wydoiła, a pierwszy skopek był już pełny.

— No, mój miły Boże! — zawołał gospodarz — drapiąc się po głowie, toć jej moja dawała jak najlepszą trawę a źreć nie chciała, a tu perz źre aż się prawie dławi, i mleko jak daje tak daje.

— Oto mój gospodarzu — rzekła komornica z uśmiechem — onać nie jest zwyczajna trawy, bo zkądbym ją była wzięła! Jam tylko zbierała perz dla niej.

— No, kiedy tak moja kobieto, to mi darujcie żem was posądził, i u mnie perzu nie brakuje, może go źreć ile jej się będzie podobało.

Poczem ów gospodarz odprowadził krowę nazad do domu, i opowiedział swojej kobiecie jak się rzecz miała. Nie chciała ona z początku wierzyć temu wszystkiemu, aleć się potem sama naocznie przekonała, że krowa tylko do perzu przyzwyczajoną była. Dawała jej go codziennie, mieszając potrosze z trawą. Krowa wybrała perz a trawę zostawiła, później jednakże powoli i do trawy się przyzwyczaiła.

To zdarzenie prawdziwe niech służy za dowód, że i perz bydło je chętnie.

Km.

RÓŻNOŚCI.

Pożar. Dnia 3 lipca wieczór był wielki pożar w Wiśniczu. Spaliło się więcej jak 300 domów, a 500 rodzin jest bez chaty i chleba. Z Bochni posłano zaraz nieco zapomogi, także z Krakowa. Szkoda jest okrutna, a z całego miasta tylko kupy gruzów i popiołów. Wielki jest także płacz tych biedaków na nieszczęście takie. Najsmutniejsza rzecz, iż w ogniu spaliło się także troje małych dzieci.

Piękna wyspa. Jestci jedna wyspa koło Europy, a ta zwie się Islandya. Mały to kraj, ubogi bardzo, bo już tam zimna okrutne i rzadko znaleźć pola do uprawy. Otóż biedactwo tam wielkie, a ludzie przecież szczęśliwi i niedostatku nie cierpią. Zaś wiecie czemu się tak dzieje? Oto, bo tam jest nauka i rozum. Szkół różnych jest tam bardzo wiele, a już w każdej chałupie znajdziesz coś drukowanego. Zaś na całej wyspie nie ma dziecka ośmioletniego, któreby czytać nie umiało. Więc taka nauka, taki rozum pomagają ludziom w życiu, i lepiej im pomagają jak największe dostatki, bo majątek każdy można stracić a nauki nigdy. Miły Boże! kiedy to u nas tak będzie, kiedy to u nas na człowieka, co czytać nie umie, będą ludzie patrzyć jak na raroga i dziwować mu się będą okrutnie, kiedyto tym sposobem bieda od nas ucieknie a będzie szczęście i dobra dola!

Złodziejska sztuczka. Na jarmarku ukradł jakiś złodziej czapkę gospodarzowi i uciekł z nią. W lesie położył się spać, a czapkę włożył pod głowę. Wraca Szymek z jarmarku, i spotyka onego złodzieja śpiącego. Patrzy aż pod głową leży nowiusienka czapka barania, wysoka na łokieć, aż miło spojrzeć. Zaczęło go kusić, i nakoniec brzydal jakiś cap za czapkę i uciekł z nią. Ubiegłszy z pół mili, kiedy widział że go nikt nie goni, zaczął Szymek przymierzać czapkę, i zapomniawszy że dopiero co grzech popełnił, zachciało mu się pochwalić z nią przed ludźmi. Więc wstępuje do gospody przy drodze, i nałożywszy czapę z fantazyą, wchodzi do izby. Było tam właśnie huk ludu, a jakiś gospodarz z gołą głową rozpowiadał coś głośno. Kiedy Szymek wszedł, spostrzegł go on, i krzyknie:

— Patrzajta no!

Wszyscy stanęli cicho i patrzą, a Szymek myśląc że się tak dziwują jego czapce, nadął się jak paw i założył ręce za pas. W tem gospodarz ów podchodzi do niego, i jakci go palnie w kark a potem w mordę, to Szymek aż się zgiął we dwoje i oczy mu na wierzch wylazły. Wyprostowawszy się huknie:

— Zaś, czego mnie bijeta?

— A złodzieju — huknie gospodarz i poprawi znowu kułakiem — a poganinie, to tyś mi ukradł czapkę? ha?

— Gdzie zaś — powie Szymek — ale wytłumaczyć się nie mógł, bo choć czapkę nie wziął gospodarzowi ale ukradł złodziejowi. Więc musiał ją oddać, a co wziął smarowania kułakiem w kark i wstydu, to mu zostało na pamiątkę, aby nie brał się do kradzieży.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**